

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacja z angielskiego.

10)

Dnia 3 lutego opuściłem dom w Lantrig. Dyżansem udałem się do Plymouth, gdzie przenocowałem w hotelu pod godłem „Jeden i wszyscy“, przy ulicy Starej.

Nazajutrz zapewniłem sobie przejazd do Bombaju na pokładzie statku „Fala złota“, udającego się do Indyi Wschodnich, a mającego — jak mnie zapewniono — rozwinąć żagle za dwa dni. Kapitan jego zwał się Jakób Carey.

Miałem zamiar, w razie gdybym w Plymouth nie znalazł odpowiedniego okrętu, udać się aż do Bristolu, gdzie ruch handlowy i pasażerski jest znacznie większy. Na szczęście, w niezbyt wonnej dzielnicy miasta, noszącej miano Barbicane, spotkałem się z bardzo miłym młodzieńcem, który dowiedziawszy się czego szukam, oświadczył, że i on właśnie zajęty był podobnymi poszukiwaniami i już znalazł statek, mający wkrótce odpłynąć. Był, jak mi powiedział, dependentem u adwokata, lecz po śmierci swego starego pryncypała nie mógł się zgodzić z jego następcą, posiadającym nieznosny charakter. Ponieważ oszczędził tyle pieniędzy, że mógł rok, albo nawet dwa obejść się bez stałego, płatnego zajęcia i poświęcić kwotę zarobioną na rozrywki, postanowił podróżować. Za cel swej podróży wybrał Bombaj, po części dla poznania cudów przyrody indyjskiej, po części zaś dla zobaczenia się z bratem, urzędnikiem Kompanii Indyi Wschodnich.

Ponieważ chwilowo miał wolnego czasu dosyć, zaproponował mi bardzo uprzejmie zwiedzenie razem wybranego przez się okrętu, zapewniając, że w razie, gdy go uznam za odpowiedni dla mnie, i on, pragnąc korzystać z mego towarzystwa, zamówi również na nim miejsce dla siebie. Rozmowa z nim była tak łatwa i zajmująca, że z radością zgodziłem się na propozycję, która wydała mi się pożądaną i ujmującą. Statek, po sumiennem zbadaniu, przypadł nam zupełnie do gustu, a kapitan Carey miał minę tak dzielnego i zanego człowieka, że nie namyślałem się długo, zawarliśmy z nim natychmiast układ o warunki i cenę przejazdu.

Przed udaniem się do hotelu „Jeden i wszyscy“, uznałem za rzecz właściwą zapytać mego nowego przyjaciela o jego nazwisko. Zowie się Szymon Colliver i mieszka — jak mi powiedział — w Stokes, dokąd dziś jeszcze powrócić musi, aby przygotować się do nieco za pośpiesznie zaprojektowanej podróży. Radził mi przytem przenieść przedewszystkiem zaraz moje bagaże z hotelu „Jeden i wszyscy“ do „Witajcie nam“, małej, lecz doskonałej gospody, położonej przy ulicy Barbicane, skąd — jak twierdził — mieć będę bliższą drogę do „Fali złotej“. Odległość od portu do ulicy Starej nie była w rzeczy samej zbyt wielką, lecz dla kogoś, co jak ja zmuszony byłem odbywać ją cztery do pięciu razy dziennie, tworzyła wcale nużącą przechadzkę. Zgodziłem się wreszcie na przeniesienie się do „Witajcie nam“, głównie dla tego, że gospodarz hoteliku wszedł podobno jako majtek w skład załogi okrętu, którym popłynąć mieliśmy do Bombaju, a jak Colliver zapewniał, człowiek znany i usłużny, może nam się bardzo przydać w ciągu długiej i męczącej drogi.

Mój nowy znajomy zaprowadził mnie do polecanej przez siebie gospody, wyglądającej dość ponuro, lecz utrzymanej czysto i porządnie. Po krótkim targu z Johnem Railton, właścicielem czy też dzierżawcą hoteliku, ułożyłem się o warunki mego pobytu aż do chwili opuszczenia portu przez „Falę złotą“. Po dokonaniu czego i wypiciu na znak porozumienia szklanki wina w szynku, należącym do oberży, Szymon mnie opuścił, ciesząc się mocno — jak powiedział — nieocenioną zdobyczą, jaką było dla niego pozyskanie towarzysza podróży, tak ogromnie przypadającego mu do gustu.

Co do mnie przyznać muszę, że nie byłem zbyt zadowolony z Johna Railton, który wydał mi się figurą bardzo nieprzyjemną i dziwaczną, zwłaszcza, gdy zalewał się nad miarę mocnymi trunkami. Lecz po przyniesieniu rzeczy moich z hotelu do gospody, co załatwił dobrze i z wielkim pośpiechem, urządziłem się tak, żeby go widywać jak najrzadziej. Za to żona jego zajmowała się mną pilnie i życzliwie. Była to kobieta nadzwyczaj łagodna, chociaż — jak to łatwo zauważyć mogłem — martwiąca się strasznie nałogiem męża. Pomimo to kochała go bardzo i szczerze zasmuconą była jego

wyjazdem, co spostrzegłem równie łatwo. Często się zdarza, że niewiasta dobra i uczciwa, rozmiłowana w mężczyźnie, więcej do bydlęcia niż do człowieka podobnym.

Dziwnem jednak wydało mi się bardzo, gdy kiedyś zwróciłem jej uwagę, że ma oczy zaczerwienione od płaczu, przyczem wspomniałem, że smutek jej wywołany został prawdopodobnie przyszyłym odjazdem męża. Spojrzała na mnie osłupiałym wzrokiem i rzekła, że pojąć nie może, dlaczego mówię z nią o tem, gdy postanowienie Johna zapadło tak nagle i niespodzianie, iż zaledwie w nie uwierzyła. Przyznała jednak, że może to i lepiej, dodając: „John jest dobrym marynarzem, zawsze więc powinnam była się spodziewać, że pewnego dnia mnie opuści“. Niepokoiła się wielce o swoją małą, siedmioletnią córeczkę. Dręczyło ją, że dzieczenka słuchać musi nieraz nieprzyzwoitej rozmowy i patrzeć się na brutalne zachowanie się kundmanów szynkowych. Pocieszałem stroskaną, jak umiałem, wątpię jednak, aby słowa moje uspokoiły ją zupełnie.

„Fala złota“ podniosła kotwicę dnia 6 lutego i dotarła do Bombaju, po długiej, sto trzy dni trwającej podróży dnia 21 maja, czas jakiś bowiem wstrzymywały jej bieg prawidłowy przeciwnie wiatry, wiejące w pobliżu Przylądka Dobrej Nadziei.

Przed wyjazdem z Plymouth rzadko widywałem się z Szymonem Colliver, chociaż dwukrotnie — jak mi powiedział — dopytywał się o mnie w gospodzie „Witajcie nam“. Na statku jednak, jako jedyni dwaj pasażerowie, zmuszeni byliśmy z natury rzeczy często z sobą przebywać. Przyznać muszę, że znalazłem w nim bardzo miłego kompaniona. Często, przy świetle księżyca, przechadzaliśmy się po pokładzie, przyglądając się ogromowi gwiazd na niebie, o których Colliver umiał opowiadać wiele ciekawych rzeczy. Często również śpiewał ładne piosenki, których nigdy przedtem nie słyszałem, na nutę — jak przypuszczam, chociaż nie wiem dlaczego — przez niego samego skomponowaną. Głos jego posiadał skalę rozległą. Był tenorowy, o srebrnym dźwięku, oraz niesłychanie czysty i pełen słodczy. Czarował nim do tego stopnia, że widziałem nieraz — gdy nucił jakąś starą piosenkę miłosną albo ludową — zatrzymujących się przed nim majtków, słuchających go z rozwartymi ustami, a nawet ze łzami w oczach. Kiedy niekiedy słowa jego niektórych pieśni tętniły mistyczną jakąś tajemniczością, albo fatalizmem; zawsze jednak, czy mówił, czy śpiewał, organ jego głosu brzmiał ślicznie. Pewnego dnia zapytałem go: dlaczego, rozporządzając tak pięknym głosem i tak niepospolitym talentem, nie próbował szczęścia w zawodzie teatralnym. Na to roześmiał się i odparł żwawo, że nie zdołałby nigdy poddać się ani regułom, ani wymaganiom sztuki, a również zmusić się do śpiewania w każdym, dobrem czy złem usposobieniu, przed obojętną dlań publicznością.

Nie zdaje sobie sprawy, dlaczego tak szeroko rozpisuję się o tym niezwyklej człowieku. Nasze dwa istnienia w ciągu krótkiego czasu biegi obok siebie równoległe, lecz według wszelkiego prawdopodobieństwa nie spotkają się już z sobą nigdy. Życie moje było dotąd życiem spokojnem i pospolitem, więc nie często spotykałem osobistości nadzwyczajne i dlatego prawdopodobnie sąd mój wydać się może niekompetentnym, wątpię jednak, aby istniało wielu ludzi podobnych do Szymona Colliver. Dla mnie był on od stóp do głowy zagadką. Aby człowiek, tak suto udarowany od natury — bo prócz uroczego wdzięku wykwiintnej rozmowy i zachwycającego głosu, posiadał on głęboką znajomość kilku obcych języków — mógł być tylko skromnym dependentem u adwokata, uważać chyba należy za cud prawdziwy.

Lecz o swojej przeszłości nie wspominał nigdy, pomimo, że z wielkiem zajęciem przysłuchiwał się moim opowiadaniom o Lantrig i o pozostawionej tam przezemnie żonie i synku. Nie zauważyłem jednak, aby go interesował cel mojej podróży. Nie okazywał w tym względzie żadnej ciekawości. Zresztą, przeciętnie najzupełniej był obojętny na wszystko, co dotyczyło dobrych lub złych losów, oraz przekonań ogółu naszych bliźnich. Już mnie z nim nie łączy obecnie, bo drogi nasze się rozeszły, lecz powiem szczerze, że w chwili, gdy na pożegnanie ścisnąłem mu rękę z żalem, czułem, że rozstając się z najbardziej zachwycającym towarzyszem, jakiego kiedykolwiek spotkałem w moim życiu.

Podróż nasza, jak to już zaznaczyłem, odbyła się bez szczególniejszych zdarzeń, chociaż dla mnie, który znałem morze tylko z przejażdżek łódkami w pobliżu naszych wybrzeży, nastęczało się w drodze tysiące nowych widoków, nigdy nie widzianych przedtem i nowych wrażeń, nigdy przedtem nie do-

znanych. O cudach przyrody indyjskiej i niezmiernie ciekawej charakterystyce miasta Bombaju pisać nie będę, zajęłoby to bowiem zbyt wiele miejsca w moim dzienniku. Wszystko zaś opowiem kiedyś ustnie, gdy Bóg raczy pozwolić, abym zdrow i cały powrócił do Lantrig. Mimochodem tylko wspomnę, że dekoracje sztuki, które w czasie świąt Bożego Narodzenia podziwialiśmy z Margery w teatrze bristolskim, niczem są w porównaniu z tem, co oczy moje podziwiają tu obecnie. Kręcąc się wśród bazarów, potracam nieustannie w tłoku do Hindusów, to Malajczyków, albo Żydów i Murzynów. Z początku nie umiałem odróżnić jednych od drugich. Brałem wszystkich za Hindusów. Dopiero pan Elihu Sanderson nauczył mnie rozpoznawać różnice ras i ich typowych przedstawicieli. W pierwszej chwili również przejmowały mnie żywym podziwem: jaszkrawość domów, pomalowanych na czerwono, żółto lub niebiesko; mnóstwo pięknych drzew, rosnących przy ulicach; stada ptaków, siedzących na dachach i wpadających nawet niekiedy między przechodniów; rażące nieraz zachowanie się osobników różnych narodowości; wreszcie ogromna ilość krów, odgrywających tu rolę koni.

Dość jednak o tem wszystkim, przejdźmy teraz do omówienia moich stosunków z panem Elihu Sandersonem.

Już na wybrzeżu portowem pożegnałem się z kapitanem „Fali złotej“ i przyjaciелеm moim Colliverem, miałem bowiem zamiar poprosić pana Sandersona o wskazanie mi adresu dobrego jakiegoś lokalu, w którym mógłbym zamieszkać w ciągu krótkiego czasu, jaki spędzić miałem w Bombaju. Kapitan Carey opowiedział mi już wprzód, gdzie znajdują się biura Kompanii Indyi Wschodnich, do których udałem się natychmiast. Jakkolwiek odszukanie ich zdawało mi się łatwem, zbłądziłem jednak, gapiąc się mimowoli na gmachy, budowane w odmiennym od naszego stylu, oraz na różnobarwny tłum mnie otaczający. Gdy nareszcie dotarłem do domu, mieszczącego w sobie zarząd główny, jakież było moje zdziwienie na widok wychodzącego zeń Colliwera, lecz przypomniałem sobie, że mi powiedział, iż brat jego urzęduje w Kompanii. Tymczasem wysłano go, jak się zdaje, parę miesięcy temu do Triszinopoli, więc fatyga, jaką zadał sobie mój przyjaciel, okazała się bezcelową. Przyznać muszę, że zawód doznany przyjął Szymon z dobrym humorem, zapewniając mnie, że cieszy się niewymownie, iż tak rychło mógł się z mną spotkać znowu i twierdząc, że w tak odległych obcych krajach, byłoby nam najlepiej, gdybyśmy mogli trzymać się razem. Poczem rozstać się z nim musiałem.

Nie bez trudności i po dość długiem oczekiwaniu znalazłem się nareszcie w obecności pana Elihu Sandersona, o którym w domu u siebie tak często myślałem. Jeden z urzędników zarządu wprowadził mnie do jego osobistego biura. Gdy się podniósł z krzesła, żeby mnie powitać, odrazu poznałem, że mam do czynienia z synem Elihu Sandersona, wymienionego w testamentie mego ojca. Był nim w rzeczy samej. Chudy, suchy, o twarzy pokrytej zmarszczkami, o ustach znamionujących zarazem spryt i silną wolę, zdawał się ważyć każde słowo, jakby każde chciał sprzedać osobno. Słowem, przedstawił mi się jako przeciętny typ Szkota — typ, od dość dawna dobrze mi znany.

— Dzień dobry panu — rzekł. — Zdaje mi się, że nienależycie dostyszałem pańskie nazwisko.

— Trenoweth — odparłem.

— W rzeczy samej, Trenoweth! — powtórzył, i zdało mi się, że dostrzegłem w jego oczach błyskawicę zdziwienia. — Czy sądzisz pan, że odgaduję, w jakim interesie zgłaszasz się do mnie?

— Być może — odpowiedziałem — chociaż nie przysięgałbym... bo i mnie poniekąd wydaje się on nieco dziwny.

— Ach, tak! Doskonale! nieco dziwny — i zachęcił suchym śmiechem — nieco dziwny! W istocie dobrze pan powiedziałeś. Przypuszczam jednak... he?... że pan ma przy sobie jakiś dokument... jakiś dowód świadczący, że zowiesz się Trenoweth.

Tu p. Sanderson przeszył mnie badawczym wzrokiem na wylot.

Zamiast odpowiedzieć, zabrałem się do wydobycia z ukrytej pod kamizelką bocznej kieszeni testamentu ojca i jego małej Biblii. Gdy to czyniłem, Szkot nie spuszczał ze mnie wzroku. Podałem pakiet. Uważnie przeczytał testament, przejrzał pilnie kartki Biblii, zastanowił się chwilę, poczem rzekł:

— Sądzę, że pan tak ja rozumie, iż interes, o którym mowa, był interesem prywatnym, wiążącym zmarłego Amosa Trenoweth z moim ojcem, nie żyjącym również. Mówię to szczerze... Jakież, panie Trenoweth, nosisz imię chrzestne?